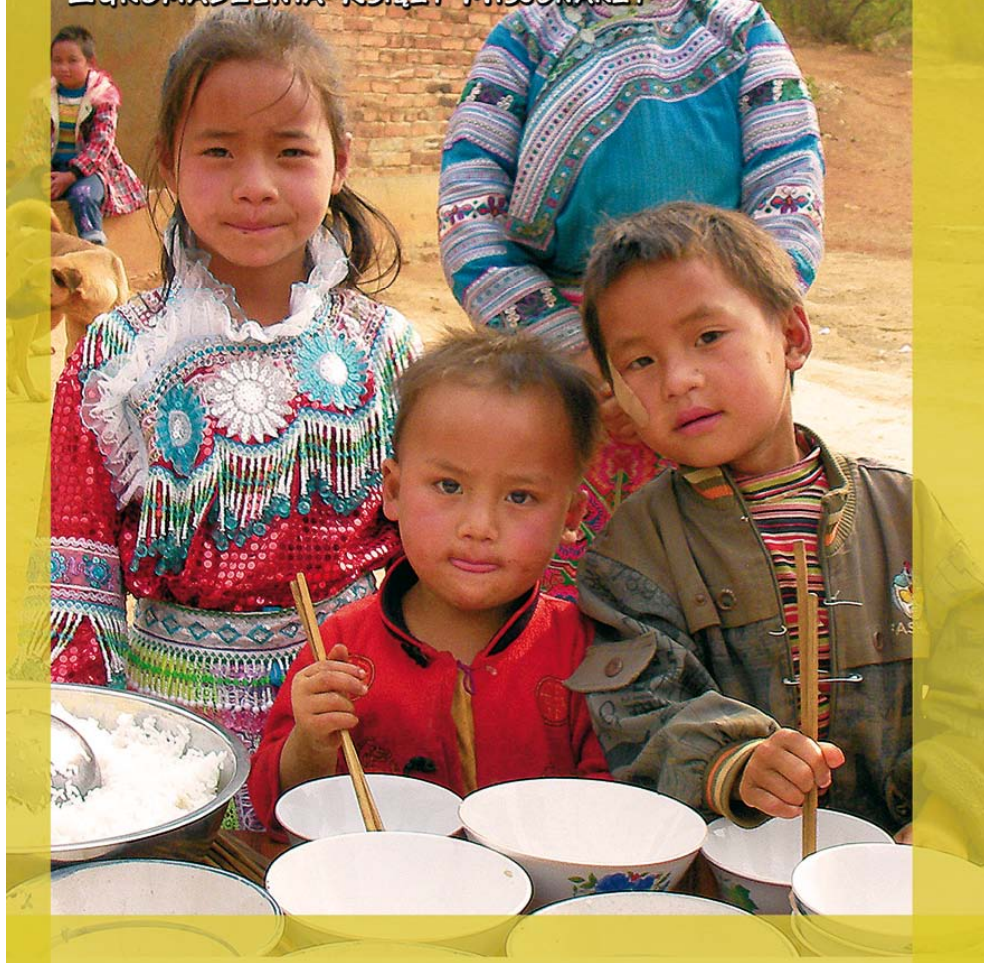


WIADOMOŚCI MISYJNE

INFORMATOR SEKRETARIATU MISYJNEGO
ZGROMADZENIA KSIĘŻY MISJONARZY

Nr 3 (17) 2010





DRODZY PRZYJACIELE MISJI!

W Encyklice o stałej aktualności posłania misyjnego „Redemptoris missio”, papież Jan Paweł II mówi o trzech sytuacjach, w jakich znajduje się świat i Kościół z punktu widzenia ewangelizacji. Pierwszą sytuacją jest ta, gdzie Chrystus i jego Ewangelia nie są znane, lub też, w której nie ma jeszcze wspólnot chrześcijańskich wystarczająco dojrzałych. Do ludzi znajdujących się w tej sytuacji skierowana jest działalność misyjna w ścisłym tego słowa znaczeniu. Drugą sytuacją jest ta, w której istnieją wspólnoty chrześcijańskie posiadające odpowiednie i solidne struktury, żarliwość wiary, promieniujące świadectwem chrześcijańskiego życia. Wśród tych, którzy znajdują się w tej sytuacji prowadzona jest działalność duszpasterska. Trzecia sytuacja ma miejsce w krajach o starych tradycjach chrześcijańskich, gdzie całe grupy ludzi utraciły sens żywej wiary, nie uważają się za członków Kościoła oraz prowadzą życie dalekie od Chrystusa i Jego Ewangelii. Znajdujący się w takiej sytuacji potrzebują tzw. nowej ewangelizacji albo reewangelizacji.

Redakcja:

ks. Stanisław Deszcz CM

Agata Gruzła

kl. Jacek Międlar

www.adgentes.misjonarze.pl

Sekretariat Misyjny Zgromadzenia

Księży Misjonarzy

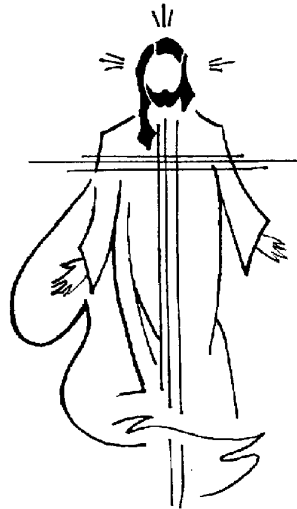
ul. Stradomska 4

31-058 Kraków

tel.: (12) 422 88 77 wew. 305

sekretariatmisyjny@misjonarze.pl

Nasi misjonarze, opisujący nam swoją posługę, za których się modlimy i których wspieramy, podejmują zadania wymagane przez pierwszy etap ewangelizacji, czyli misje. Pracując niejako na pierwszej linii, głoszą Chrystusa tym, którzy Go jeszcze nie znają, wspierają chrześcijan, tam gdzie Kościół nie zapuścił jeszcze korzeni i gdzie kultura nie została jeszcze przeniknięta Ewangelią, szerzą wartości Królestwa Bożego, przyczynając się do rozwoju edukacji, opieki zdrowotnej, sprawiedliwości i pokoju.



Na spotkaniach z misjonarzami często pada pytanie: „Jak wygląda dzień misjonarza?”. Ks. Marek Maszkowski, od 20 lat misjonarz na Madagaskarze, przysłał nam opis tygodniowej wyprawy do buszu w swojej parafii Manantenina. To coś w rodzaju dzienniczka, z którego dowiadujemy się: o odległościach, które musi pokonać, częściowo pirogą, a częściowo pieszo; o radościach ze spotkania z wiernymi na wieczornym różańcu, przy świetle jednej świeczki; o zmęczeniu, które daje o sobie znać powodując zaśnięcie nawet podczas Mszy Świętej. To także opowiadanie o codziennych troskach i marzeniach jego parafian. List ks. Marka to odpowiedź na pytanie o zwykły dzień misjonarza.

Ks. Włodzimierz pisze do nas z Papui Nowej Gwinei dostarczając świeżych wiadomości o dokonaniach i planach na najbliższą przyszłość. Odkrywamy w jego liście bolesną prawdę rzeczywistości misyjnej, która ma miejsce, gdy z różnych przyczyn stacja misyjna zostaje zamknięta. Bywa tak, że misjonarz wyjeżdża, a nie ma tam jeszcze wystarczająco dużo miejscowych kapłanów, więc wierni pozostają, np. przez 20 lat, tak jak to jest w przypadku parafii ks. Włodka, bez kapłana. Ks. Włodek musi nadrabiać wszystkie te zaległości, których by nie było, gdyby misjonarze nieprzerwanie kontynuowali pracę.

Praca misyjna to także wychowywanie młodych kandydatów do kapłaństwa i życia zakonnego, którzy „przejmują pałeczkę” po misjonarzach i kierują Kościołem, kontynuując ewangelizację już jako działalność duszpasterską. Ks. Jarosław Lawrenz wspomina swoją pracę w formacji kandydatów do Zgromadzenia Misji na Haiti.

Kilka miesięcy temu przeżywalismy tragedię trzęsienia ziemi na Haiti. Siostra Lila Cochła SM jest z Haitańczykami w tych trudnych chwilach. Bardzo zapracowana, niosąc pomoc dotkniętym katastrofą, znalazła czas, aby podzielić się z nami, tym czym żyje na co dzień.

Tradycyjnie wsłuchujemy się w głos naszych misjonarzy i pragniemy przyjść im z pomocą w realizacji ich projektów poprzez konkretną pomoc. Tym razem proponujemy wszystkim przyjaciołom misji udział w realizacji projektu realizowanego przez ks. Pawła Wierzbickiego w Chinach.

Polecamy modlitwom wszystkich naszych misjonarzy. Kilku z nich przyjedzie w okresie wakacyjnym do Ojczyzny. Jedni na zasłużony odpoczynek, inni w celu uregulowania dokumentów. Dwóch z nich: ks. Stanisław Szczepanik i ks. Rafał Brukarczyk, aby przeżyć razem jubileusz 25-lecia kapłaństwa. Życzymy im udanego odpoczynku, radosnego spotkania z najbliższymi, a także czekamy na nich w naszych wspólnotach chrześcijańskich, aby osobiście podzielili się swoimi doświadczeniami w pracy misyjnej.

*Ks. Stanisław Deszcz CM
Dyrektor Sekretariatu Misyjnego*

„RELACJA Z WIZYTY W BUSZU”



Alleluja! Tym razem zamiast ogólnych wiadomości krótka relacja mojej ostatniej wizyty w buszu.

16.02.2010, wtorek: Godz. 10.00 rano, ks. Józef Klatka podwiózł nas, tzn. diakona Michela (Malgasz-misjonarz) i mnie, do rzeki. Załadunek dziesięciu szkolnych ławek na motorówkę i płyniemy w górę rzeki, trasa około 2,5 godz. do Analamary. W Analamary lekki poczęstunek – maniok gotowany na wodzie i jakieś liście. O godz. 13.00 wymarsz do Beventihazu (trzy godziny piechotą) po drodze rozmowa z nauczycielem, który pomaga mi nieść plecak, o sytuacji w gminie: *wójt na całe tygodnie znika w Tolagnaro, nauczyciele państwowi nie uczą, słowem „róbta co chceta”*. Odmawiamy różaniec w intencji tych do których idziemy. W nocy spadł spory deszcz, wszędzie woda. Tuż przed wioską przejście po jednym pniu i po pas w wodzie. Nie

spadłem, trochę bałem się o plecak. W kaplicy dzieci i młodzież śpiewa, czekają na nas. Rozpoczyna się msza św., diakon mówi kazanie, ogarnia mnie błogie zmęczenie, budzę się na koniec kazania. Po mszy świętej rozmowa z rodzicami na temat przedłużenia kaplicy, proszą o otwarcie czwartej klasy. Po kolacji wspólny różaniec.

17.02.2010, Środa Popielcowa: Rano z diakonem odmawiamy brewiarz po francusku. O godz. 8.00 msza św. i posypanie głów popiołem. Wymarsz do Bevakoa, diakon zostaje (nauka śpiewu, katecheza, modlitwa). Chwila odpoczynku, poczęstunek – maniok z dodatkiem liści gotowanych na wodzie. Tak na prawdę ludzie w buszu mają jedzenie postne prawie przez cały rok. O godz. 12.00 wyruszam do Amboangy Telo. Apela i Franciszek – dzieci nauczyciela – prowadzą mnie na skróty do głównej drogi, która w bujnej trawie jest ledwie widoczna. Temperatura zabójcza, w cieniu spokojnie 40°C. Nogi często zapadają się po kolana w ciepłym błocie. Po dwóch godzinach rozstajemy się. Przede mną jeszcze drugie dwie godziny. Nie pobłądziłem, dzieci wybiegają mi na spotkanie. Pojawia się kubek kawy, mija zmęczenie, o godz. 17.00 msza św., sporo dorosłych. Po kolacji jak zwykle wspólny różaniec, na którym kilka razy przysnąłem.



18.02.2010, czwartek: Po mszy św. i śniadaniu wyruszam do Sahamazava (3,5 godziny). Rozglądam się po niebie, zaledwie kilka chmur, będzie ciężko... tropik. Kilometr łódką, reszta to teren górzisty, sporo kolczastych krzewów, nogi podrapane do krwi, dobra zaprawa na post. Po drodze mijam dwie osoby. W wiosce poruszenie, siedmiu mężczyzn oczyszcza teren wokół kościoła. Po południu odwiedzam wioskę, zapraszam na modlitwę. Szkoła, która przez półtora roku była zamknięta, na nowo ruszyła. 24 uczniów, trochę mało. Większość dzieci jest w lasach, pomagają rodzicom sadzić ryż. Na mszy św. sporo mężczyzn – dobry znak – zaraz po mszy wracają do lasu.

19.02.10, piątek: Rano o godz. 6.00 odwiedziny. Kobieta, matka czworga dzieci, przyniosła ćwiartkę miodu. Chwila rozmowy, prosi o różaniec i obrazek Matki Bożej. Za chwilę druga kobieta, mocno pokaszluje, prawie pewne że to gruźlica, prosi o lekarstwo, pieniądze na leczenie. Sytuacja trudna, wyjaśniam, tłumaczę, że w Manantenina siostra Odette może skutecznie pomóc, potrzebna jest analiza, długie leczenie, dobre jedzenie. Obawiam się, że nie przyjdzie, to przecież prawie dziesięć godzin piechotą. Na śniadanie ryż, banany i do Elavay półtocej



godziny drogi. Po drodze dojadam owocami giawy, w smaku i w wygładzie to rodzaj gruszek ulegalek. W Elavay ludzie już czekają. Diakon dobrze przygotował liturgię mszy św. Na obiad ryż i sześć mikroskopijnych rybek. Nie mam na tyle wiary, by je cudownie rozmnożyć. Dwie godziny i Bevakoa. Diakon idzie do Ehasity, ja zostaję. Po południu msza św., kaplica pełna, długie kazanie (45 min.), mam wrażenie, że słuchają. Po mszy, przed kaplicą, długa rozmowa z ojcami dzieci. Temat: „nowe techniki sadzenia ryżu, uprawy”, zachęcam, podaję przykłady innych wiosek. Może coś trafiło. Wieczorem jak zwykle różaniec przy jednej świeczce, kościół pełen, cudowna atmosfera modlitewna.

20.02.2010, sobota: 55 minut drogi i Ehasity. W kościele dzieci i młodzież. Nauczyciel młody, gorliwy. Tłumaczy, że sporo uczniów zaraz po nowym roku zniknęła w lasach wraz z rodzicami, by pilnować przed papużkami dojrzewający ryż. Msza św., diakon obficie posypuje głowy popiołem. Przed południem idziemy do Fenoarivo, po drodze jeszcze raz spotkanie z rodzicami uczniów w Beventihazo. Ustalamy ich udział przy dobudowie kaplicy (kamienie, drzewo, piasek, transport cementu i blachy). Diakon idzie do Antanimora, ja nocuję w Fenoarivo. Po kolacji msza św., podczas kazania mówię o świętowaniu niedzieli, alkoholizmie, bezinteresownej pomocy bliźnim. Czy dotarło? Ludzie słuchają, ale jak życie pokazuje wolą wybierać to co łatwiejsze, przyjemniejsze...

21.02.2010, niedziela: Piękny poranek. Nauczyciel podprowadza mnie do Antanimora, niesie mój plecak, no cóż, plecy mi wysiadają. Rozmowa na temat słabej frekwencji wiernych na niedzielnej modlitwie. Często winę ponosi czarownik, który przyjmuje klientów tylko w niedzielę. Najczęstszymi problemami z jakimi idą do czarownika (ombiasa) to: choroba, niepłodność, wykrycie sprawcy kradzieży, nagłej choroby czy nieszczęścia, sposobu na powiększenie zamożności, zapewnienia urodzaju, podanie dobrego dnia na zawarcie ślubu malgaskiego, budowę domu, zasiewów itp. W niedzielę, także dniu wolnym od nauki, uczniowie zamiast na pójść modlitwę do kościoła, idą łowić ryby, zbierają owoce, rośliny i korzenie jadalne, dzięki owoce itd., są chronicznie niedożywione. Dzisiaj w programie trzy wioski w niedużej odległości: Antanimora, Analamary, Analapatsy. Dojście

łatwe, msze św., a przy posypaniu popiołem i słowach: *Nawracajcie się i wiercie w Ewangelię* domagam się odpowiedzi wyrażającej gotowość (vonna aho). Trochę się obawiam, że posypanie głowy popiołem traktują jako talizman, bez konkretnej odpowiedzialności w życiu chrześcijańskim. Przy obiedzie nauczyciel Mamody uroczycie wręcza mi kopertę z pieniędzmi 45.000 fmg. (około 12 zł), zwrot kosztów benzyny. Niewiele, ale dla nich to bardzo dużo. Za tą kwotą kryje się ich ofiara i wysiłek brania odpowiedzialności utrzymania misji.

22.02.2010, poniedziałek: Analapatsy, 6.00 rano, przy kawie dyskusja z nauczycielem, problem: „młódzież, której brakuje mądrej rozrywki”. Większość nigdy nie chodziła do szkoły, albo mają tylko dwie, trzy klasy zaliczone. Rozrywką najczęściej są karty, domino, bimber pędzony z trzciny cukrowej, w czwartek dzień targowy – video-karate, komando. Pada propozycja kursów alfabetyzacyjnych, video z filmami edukacyjnymi, sport, formacja rolnicza. Program ambitny, gorzej z realizacją. Brakuje dobrych filmów, większość jest po francusku, a znajomość francuskiego w buszu równa zeru. Po śniadaniu idę do Ampaho, tam na nowo otworzono szkołę (54 uczniów). Wioska prawie wyludniona, większość mieszka w lasach. Uczniowie po południu wracają do domu nierzadko 1,5 godziny. W południe jedzą przyniesiony z domu maniok z jakimś dodatkiem, najczęściej liście z manioku, rzadziej fasola, groch. Jarzyn prawie nie znają. Zero tłuszczu, mleko, jajko, ryba to wielki rarytas. Pytam kiedy ostatni raz jadły mięso. Z dziecięcą szczerością odpowiadają, że na nowy rok. Tak naprawdę to kilka razy w roku mają okazję zjeść dobrze i do syta. Taką okazją są pogrzeby, zaręczyny, ślub małgaski, przekroczenie tabu wioskowego, za które trzeba zapłacić krowiną dla wioski. Po mszy oglądam drzewka chlebowe, palmy, goździki, posadzone przez uczniów wokół kościoła. Wszystko pięknie rośnie. W południe idziemy do Soavala (1,5 godz.). Nadal zero deszczu. Luty jest najbardziej deszczowym miesiącem na Madagaskarze. W tym roku tylko kilka przelotnych burz, czyżby ocieplenie klimatyczne? Kaplica dwukrotnie rozbudowywana, pełna, ponad 150 uczniów, cztery klasy, dwóch nauczycieli. Musimy się spręzać, diakon mówi krótkie kazanie bo dzieci muszą wrócić na wieczór do rodziców mieszkających w górach, często 10 i więcej kilometrów do domu. Wieczorem z małą grupką różaniec.



23.02.2010, wtorek: Msza św. o godz. 7.00 rano i wymarsz do Analamary (godzina), gdzie czeka na nas motorówka, którą zostawiłem w poprzedni wtorek. Płyniemy do Manantenina 15 km. Po drodze zatrzymujemy się na mszę św. w Mahatsinjobaky. Duży, murowany z pustaków kościół, który wybudowaliśmy siedem lat temu, służy w tygodniu jako szkoła trzyklasowa, a w poprzedniej kaplicy drewnianej nadal pierwsza i druga klasa zdobywa wiedzę czytania i pisania. Razem ponad 140 uczniów i tylko dwóch nauczycieli. Wieczorem dopływamy do Manantenina, gdzie czeka na nas ks. Józef z dobrą kolacją.

Na zbliżające się radosne Święta Wielkanocne życzę dużo Łask Bożych od Zmartwychwstałego Pana Jezusa Chrystusa, który zawsze umacnia nas w tym co dobre, szlachetne i miłe Panu Bogu. Dużo zdrowia, radości w Duchu Świętym i wytrwałości modlitewnej w dalszym misjonarzowaniu, z modlitwą życzy

*Ks. Marek Maszkowski CM
misjonarz z Madagaskaru*

Port Moresby, 17 marca 2010 r.

„GAZ DO DECHY”



Drodzy Przyjaciele! Witam serdecznie po czterech miesiącach. Dłużyło się? Nam niespecjalnie ☺... bo się dużo działo. Oj... bardzo dużo. Najpierw zanim co nieco opowiemy, pragnę Wam bardzo gorąco podziękować za pamięć i wsparcie, tak duchowe jak i materialne. Powtórzę raz jeszcze to, co pisałem ostatnio, bez Waszego wsparcia nic z tych rzeczy, o których mowa niżej by się nie wydarzyło. Duchową pomoc odczuwam jak nigdy wcześniej w moim życiu. Czasami „coś” mnie niesie, bez żadnego specjalnego wysiłku z mojej strony. Prośba o jakiś środek łączności też spotkała się z niezwykłym odzewem. Mam już telefon satelitarny. Jutro kupuję i wysyłam nasz zestaw satelitarny. Bę-

dziemy pierwszą parafią w diecezji, gdzie ludzie będą w niedzielę oglądać Anioł Pański z Papieżem. Od maja to będzie nasza modlitwa na zakończenie dnia, w zależności od pory roku o godz. 20.00 lub 21.00 (8-9 godzin różnicy). Dziękuję bardzo za listy i za cierpliwość, że czasami tak długo czekacie na odpowiedź. Nie poddawajcie się...

Wielu z Was pytało w listach jak wygląda Boże Narodzenie w Papui Nowej Gwinei, a szczególnie w Górach Goilala. Tydzień przed Bożym Narodzeniem wybrałem się na kilkudniowy patrol do drugiej parafii, która z braku księży pozostaje pod moja administracją. Wróciłem do Fatimy z mieszаныmi uczuciami.



Tanipai okazało się jak zawsze pełne życia i pomysłów na trwanie przy Chrystusie, nawet bez księdza. To piękne miejsce. Wioska położona jest na tarasie w bardzo ciasnej i głębokiej dolinie. Kilkanaście wiosek rozsianych na skalnych półkach wokół. Do niektórych, po drugiej stronie doliny, można z Tanipai dorzucić kamieniem, ale żeby tam dotrzeć trzeba poświęcić cały dzień na karkołomne zejście do dzikiej rzeki pełnej pstrągów, położonej kilkaset metrów niżej.

Potem, przez mostek upleciony z gałęzi, wspinaczka w górę, kolejne kilkaset metrów różnicy w poziomie. Zakładając, że wracamy tego samego dnia do Tanipai, to może być w sumie około 3.000 metrów „w nogach”, w jeden dzień. W tym oczywiście msza św., zwykle kilkadziesiąt osób do spowiedzi, chrzty, Pierwsze Komunie Święte, śluby, namaszczenie chorych, a czasami nadzwyczajne sytuacje i problemy do rozwiązania. Taki patrol staje się naprawdę niekiedy ekstremalnym wyzwaniem fizycznym. To co pomaga zapomnieć o zmęczeniu to wspaniała przyroda, no i przede wszystkim klimat radości i wdzięczności w miejscowej katolickiej wspólnotce. Tego ostatniego niestety nie da się powiedzieć o Kosipe. Właściwie to Kosipe jest siedzibą parafii, a Tanipai było jej filią. Dzisiaj jednak to Tanipai tętni życiem, a Kosipe ulega coraz większej dezintegracji. Katechista poleciał do Port Moresby i nie wrócił. A jeden z dwóch świeckich mężczyzn odpowiedzialnych za modlitwę mieszka z dwoma żonami. Plagą Kosipe są karty, w które grają całymi dniami... i marihuana.

Jeden dzień poświęciłem na przedarcie się przez słynne wysokogórskie bagno „Kosipe Swamp”. Po jego drugiej stronie, w dolinie zupełnie odciętej od świata, ogródki są pełne tego „zioła”. Wielu hołduje je na „eksport”. Przemycają je przez góry na wybrzeże, a tam chińska mafia pakuje towar w wydrążone drewniane bale i rozsyła statkami do Australii i po całym Pacyfiku, nawet do USA. Podobno, nasze „zioło” z Kosipe i z innych miejsc w górach Goilala jest jednym z najlepszych na świecie. Jesteśmy słynni... ☺ szkoda, że nie w innych dziedzinach...

Pomysł na Boże Narodzenie w Fatimie mieliśmy już przynajmniej od kilku miesięcy. Wybudowaliśmy, w całości z naturalnych materiałów, wielką „szopkę”. W dzień Bożego Narodzenia szopkę zajęła miejscowa „Święta Rodzina”. Msza św. była przepiękna. Miedzy innymi,

mieliśmy aż trzy procesje z darami. Najpierw dzieci przyniosły Dzieciątka Jezus kury, jajka i kilka dzikich miejscowych zwierzątek. Potem kobiety podarowały Maryi przynajmniej tygodniowy zapas jarzyn i warzyw. W końcu przyszedli i mężczyźni z cielakiem dla Józefa. Ludzie byli zachwyceni całą liturgią. Pierwszy raz widzieli w swoim życiu coś takiego. W przygotowaniach i podczas Świąt Bożego Narodzenia bardzo nam sprzyjała Boża Opatrzność i jej dar – wyśmienita pogoda. W samym środku pory deszczowej mieliśmy kilka pięknych słonecznych dni. Dopisali też wierni. Ich liczba przerosła nasze najśmielsze oczekiwania. Na mszę wigilijną musieliśmy rozebrać jedną ścianę kościoła, żeby ci, którzy stali na zewnątrz mogli coś widzieć i słyszeć. Reszta nabożeństw była na łące przed „dużą szopką”. „Mniejsza żywa szopka” była w kościele w dni powszednie i podczas codziennego nabożeństwa różańcowego. Codziennie inna para dzieci opiekowała się Dzieciątkiem, śpiącym sobie smacznie na mchu pod dużym świerkiem.

Okres Bożego Narodzenia zakończyliśmy Niedzielą Chrztu Pańskiego. I tu niespodzianka... wśród 26 dzieci do chrztu, znalazł się... malutki „Vladi”, więc teraz jest dwóch Włódków w Fatimie. Fajnie, będzie różnie... (dla ścisłości... ten mały jest w 100% czarny ☺).

Przez dwa tygodnie Fatima była centrum Goilala. By wszystkim gościom zapewnić schronienie, miejscowy klan w ekspresowym tempie wybudował kilka szałasów. Niektóre z nich na kilkaset osób. Pamiętam szczególnie jeden, w którym paliło się siedem ognisk. Nikt się czegoś takiego nie spodziewał. To było rzeczywiście święto. Pierwsze takie po 20 latach. Widząc już w grudniu napływ ludzi, i to jak szybko topnieją nasze własne zapasy (na początku grudnia niespodziewanie przyleciał Thomas i miejscowy kleryk) i te z naszego sklepiku, wysłaliśmy pilne zapotrzebowanie na żywność do naszych służb logistycznych. Logistycy nasz list zlekceważyli. W grudniu nikt nic nie wysłał. Tuż po Świętach i po Nowym Roku wysłaliśmy kolejne dwa listy, tym razem dramatyczne, bo sytuacja na prawdę stawała się dramatyczna. Kończyło się wszystko po kolei: cukier, olej, suchary, ryż... wszystko... nawet zapalki. Dopiero czwarty list, jak wołanie „ratunku”, ruszył logistyków. Ale było za późno, bo przysłała najgorsza część pory deszczowej. Firma na prawie dwa miesiące zawiesiła loty w Góry Goilala, bo piloci po kolejnych trzech wypadkach, odmówili lądowa-

nia na naszych „łąkach”. Jedzenie się skończyło. Zaczęła się misja. Najpierw zjadaliśmy po kolei wszystko, co rosło w ogródku. Wtedy właśnie odkryłem, z pomocą miejscowych kobiet, że praktycznie wszystko co zielone da się zjeść. A wiele „chwastów” jest bardzo smacznych i zdrowych☺. W najgorszym momencie na liściu „do gotowania” znalazły się nawet nasze dwa cus-cus i cztery papugi. W końcu z Port Moresby wystartował pierwszy samolot z zapasami. Nadleciał nad Woitape... zrobił kilka kólek... i odleciał. Pogoda była tak paskudna, że pilot spanikował i bojąc się kolejnego nieszczęścia wylądował na najbliższym dostępnym górskim lądowisku. Tym sposobem nasz ryż, mąka i zapalki znalazły się w Tapini, cztery dni drogi od Fatimy.



To był wtorek... pierwsza papuga była w menu na sobotę... Szczęśliwie w czwartek pogoda się poprawiła i specjalnie wysłany samolot podjął nasze cargo z Tapini i przeniósł do Waitape. Właśnie z tego powodu mój obecny pobyt w Port Moresby to największa jak do tej pory operacja logistyczna. Nasza sytuacja – księży w Goilala – skomplikowała się w międzyczasie jeszcze bardziej. Lądowiska w Fane i w Ononge zostały zamknięte. Każda z tych parafii jest sześć razy większa od mojej, a ich proboszczowie są teraz kompletnie odcięci od świata. Moje lądowisko w Waitape jest otwarte. Jeszcze... Choć jest to najdłuższy pas startowy w Górach Goilala, to jest on najgorszy.

Kilka informacji dla tych, którzy do naszego klubu Przyjaciół Fatimy dołączyli później:

Moja Fatima Catholic Mission Station położona jest 1.600 metrów n.p.m. w pięknej dolinie, między rzeką a strumieniem. Dookoła góry do 4.000 m n.p.m. Dwa kilometry od Fatimy, w stacji rządowej Waitape mamy blisko kilometrowe lądowisko wybudowane jeszcze pod australijskim protektoratem. Jedyne „płaskie” miejsce to było bagno, więc Aussies je trochę osuszili; dosypali żwiru i nawet zaczęli ściągać do Waitape grupy turystów, ciekawych zobaczyć dzikich tubylców i około 800 gatunków orchidei, z których słyną Góry Goilala. Po uzyskaniu niepodległości w latach 70-tych, wszystko zaczęło upadać i zarastać. Lądowisko też, kiedyś było bagnem, staje się nim na nowo. Gdy samolot lądował dwa tygodnie temu, błoto poszło na śmigła. Śpieszę się więc, żeby wysłać zapasy i samemu polecieć, zanim coś się stanie. Ponieważ Fatima będzie teraz bazą zaopatrująca przynajmniej 4 parafie połowe Goilala, ta operacja logistyczna jest najpoważniejszą ze wszystkich do tej pory. Na początek, ponad 4 tony, w sześciu samolotach, w tym jeden specjalny ze wszystkim co może wybuchnąć. I ja w ostatnim, za tydzień, we wtorek, Trudno przewidzieć, na jak długo to wystarczy. Może na miesiąc, a może na tydzień. W ciągu ostatnich dwóch tygodni nie poleciał w góry żaden fracht. Jeden z moich frachtów wrócił wczoraj, bo nie dało się lądować. Może jutro się uda... daj Boże. Jak widzicie, czasami te nasze problemy, o których pytacie w listach, są takie „zwyczajne”. Taka jest sytuacja naszych parafii w Górach Goilala.

W pewnym sensie cofamy się w czasie, nawet do okresu przed przybyciem pierwszych misjonarzy w końcu XIX wieku na wybrzeże Papui, a z początkiem XX wieku w Góry Goilala. W tamtych czasach misjonarze mieli świetnie działający system szlaków, którymi karawany mułów, osłów i koni w 12 dni zносиły w góry wszelkie potrzebne rzeczy, nawet całe wodne tartaki. Po II wojnie światowej zaczęto budować lądowiska, a miejsce mułów zajęły samoloty. Dzisiaj nie działa ani jedno ani drugie. Szlaki dawno zarosły, a lądowiska zarastają na naszych oczach. Kiedyś to misjonarze o nie dbali. W pewnym momencie „zajął” się tym rząd. Podobnie jak szkołami, przychodniami zdrowia, wszystkim. Dziś, gdy już wszystko rozkradzione, a pieniądze na naprawy i odbudowę roztrwonione, rząd zwraca się do Kościoła: „ratujcie!”. No i ratujemy... jak się da. Zwykle wpierw samemu się trzeba jakoś uratować w tej „total social disaster zone”.

To co nam się ostatnio udało uratować, to szkołę w Fatimie. Z dwumiesięcznym opóźnieniem udało nam się ją... ponownie otworzyć. Z sześciu wyznaczonych nauczycieli, tylko trzech zjawilo się w szkole. Jednego znalazłem w Port Moresby i wywaliłem na „zbity pysk”. Okazało się, że nie tylko przepuścił zeszłoroczną subwencję, ale nawet zadłużył szkołę na ciężkie tysiące. Dwóch pozostałych, wiedząc, że ich namierzyłem, ukrywa się. Mają czas, żeby się ujawnić, do przyszłego tygodnia. Jeśli tego nie zrobią, zostaną wykreśleni z listy nauczycieli, z „wilczym biletem”. Rząd kompletnie nie panuje nad sytuacją. Wszyscy ci tzw. „ghost teachers”, którzy często całymi latami siedzą w Port Moresby i nigdy się nie pokazali w wyznaczonej im szkole, regularnie co dwa tygodnie otrzymują wynagrodzenie. I to przez ostatnie 20 lat... Wszystkie szkoły w Goilala zostały oddane Kościołowi, bo jest to ostatnia deska ratunku. Wyobraźcie sobie zadanie proboszcza, który żeby szkołę na nowo uruchomić, najpierw musi skrócić kark hydrze korupcji, która trzyma tę szkołę w szponach. Jest to niekiedy walka prawie „na śmierć i życie”, Ktoś musi się poddać, albo złodzieje, albo proboszcz. Czasami „szkoda” mi tych złodziei, bo po 20 latach nic nie robienia, i wyciągania co dwa tygodnie kasy z bankomatu, nagle zostają „na lodzie”. Jest to walka o przyszłość dzieci i młodzieży, o to czy będą analfabetami, czy będą chociaż trochę umieli czytać i pisać. Czasami jest ciężko, bo jest to jak samotna

walka z mafią, ponieważ w spółce z tymi nauczycielami są wysoko postawieni urzędnicy państwowi. Po pierwszych przegranych potyczkach, zaczynamy się dobierać im do skóry. Wygraliśmy już parę istotnych „bitew”. „Wojna” jest jednak wciąż nierozstrzygnięta. Wiedzą już jednak nasi „przeciwnicy”, że z „tym księdzem z Woitape” lepiej nie zadzierać. Gdy w pewnym momencie pojawiły się pogrożki, wodzowie głównego klanu z Fatimy, złożyli „oficjalną” deklarację: *Jeśli ktoś tknie naszego księdza, to my się zjawimy*. To wystarczyło. Klan ten kilka pokoleń wcześniej był znany z okrucieństwa. Dzisiaj są bardzo pobożnymi katolikami i dobrymi parafianami, ale nikt nie jest pewny czy czasem pod skórą wciąż nie noszą bestii. I gdy mówią, że ewentualnie „się zjawia”, lepiej na wszelki wypadek tego nie prowokować. Szkoła, no i same dzieciaki na tym zyskają, bo wszystko powoli zaczyna wracać do normalności. Zajmie to oczywiście pewnie ładnych parę lat, zważywszy chociażby na to, że mamy kilku pierwszaków, którzy skończyli już 20 lat. Skończą szóstą klasę i mogą się żenić... ☺, a niektórzy to się nawet pewnie ożenią w trzeciej albo i w czwartej klasie...



My tu gadu gadu, a z czwartej strony została połowa... No to w telegraficznym skrócie. W styczniu mieliśmy pielgrzymkę do Ononge, do grobów pierwszych francuskich misjonarzy. Brało w niej udział 300 osób, trwała pięć dni. Coś pięknego. Na dawnym szlaku misyjnym prawie kilometrowy „wąż” pielgrzymów. Ze wszystkich stron dymne ogniska – znak, że nas widzą. Ci co zeszli do szlaku, zwłaszcza najstarsi, szli bez słów i ze strumieniami łez po policzkach. Pierwszy raz widzą coś takiego. Już chcą następną taką pielgrzymkę, i będzie następna, na przełomie czerwca i lipca, w 125. rocznicę przybycia misjonarzy. W trzy tygodnie z Gór na Yule Island, do Port Moresby i z powrotem w góry. Będziemy pierwsi na szlaku po ponad 40 latach. Wioski po drodze są już w stanie mobilizacji, bo ten „polish pater Bradi” przyciągnie „tsunami” z Fatimy. Oj... będzie „tsunami”. I to nawet lepsze niż w Ononge.

Thomas, kandydat do naszego Zgromadzenia, wyzdrowiał i powrócił. Biskup przysłał mi też diakona. Jedyne jakiego miał. Nazywa się John Paul. Jest nas trzech, więc wszystko, a zwłaszcza duszpasterstwo się rozkręca. Po pierwszych miesiącach, w których jakoś próbowałem przeżyć w misji-ruinie, po pierwszych niezbędnych naprawach, teraz bierzemy się za system duszpasterski.



Zaczęliśmy pracować z młodzieżą. Tego też dotyczy moja gorąca prośba, zbieram na „salkę dla młodzieży”, coś do brzdąkania, jakieś skromne nagłośnienie. Liczę na Was i już teraz serdecznie dziękuję. Podobnie przygotowujemy program katechezy dla dzieci. Konieczne też będzie zorganizowanie na nowo kobiet i innych grup pobożnościowych. Wodzowie się dopominają, że też chcieliby mieć swoje katolickie stowarzyszenie. Do tego Rada Parafialna, Rada Szkoły itd. Równolegle rozpędzamy się również z odbudową infrastruktury. Wodociąg prawie skończony. Mała elektrownia w połowie. Nowe ogrodzenie misji na celowniku. W porze suchej idziemy w busz z piłami motorowymi po legary na kościół. Zaczynamy się przymierzać do budowy dzielnicy dla nauczycieli. W październiku może wrócą siostry, więc my musimy się wyprowadzić z dawnego konwentu i coś sobie wybudować. A w listopadzie musimy rozebrać dwie klasy szkolne i wybudować cztery. Jednym słowem... trzeci bieg... „gaz do dechy”.

List zawita pewnie tuż po Wielkanocy... Niech na Wielkanoc zawita sam Chrystus. Zmartwychwstały. Zwycięski. Pan życia i śmierci. Zbawca od wszelkiego zła. Jedyna nadzieja. Szczęść Boże.

Ksiądz Włodek

P.S. W poprzednim numerze „Wiadomości Misyjnych” ogłosiliśmy zbiórkę na pomoc ks. Włodzimierzowi w wyposażeniu świetlicy dla młodzieży. Można nadal wspierać ten projekt przesyłając na konto bankowe sekretariatu dowolną ofiarę, z zaznaczeniem „projekt świetlica dla młodzieży w Papui Nowej Gwinei”.

„POD WIATR”

Kiedy wspominam dzisiaj minione lata (ale się mi zebrało na sentymenty!?) mojego misyjnego życia (inny czas, inne miejsce), to jest to nie tylko powrót do pożółkłych zdjęć, ale tak-



że wdzięczność Bogu za lekcje mądrości tych wydarzeń. Bardzo ostrożnie podchodzę do odpowiedzi na najczęściej zadawane mi pytanie: co było najtrudniejsze w pracy na misjach w Afryce czy na Haiti? Wspomnienia jakby chóralnym głosem odpowiadają – wiele spraw. Ale pozbawiając tę odpowiedź formy uogólniającej i „idąc za ciosem” uparcie pytając i „wierząc dziurę w brzuchu”: to co konkretnie???

Może dzisiaj po wieczornej, pierwszo-czwartkowej mszy św., którą na Brooklinie odprawiamy (wszyscy kapłani mojej wspólnoty) w duchu pokory za otrzymany dar kapłaństwa i z nadzieją, że Bóg wzmocni nasze szeregi, w mojej próbie odpowiedzi na to pytanie zatrzymam się nad aspektem powołań kapłańskich. A bardziej konkretnie, żeby „nie pływać” w temacie zapraszam was na wyspę Wielkich Antyli czyli Haiti.

Wypracowanie inteligentnej, ale przede wszystkim Bożej formy „rekrutacji”, albo inaczej mówiąc akceptacji młodych ludzi, którzy chcieli odpowiedzieć na głos Bożego powołania i to konkretnie w Zgromadzeniu Księży Misjonarzy św. Wincentego a Paulo zabrało nam (w tym momencie nie mogę zapomnieć o ogromnej pomocy mojego współbrata w misyjnych trudach ks. Stanisława Szczepanika) kilka lat. Nie wyglądało to od początku tak różowo. Stajesz na płycie lotniska w nowym kraju, rozglądasz się na prawo i lewo, w głębi serca pytasz Tego, który ciebie posłał: co mnie tu czeka? Kiedy lekko ochłonęliśmy już w naszym docelowym domu, dowiaduję się, że jed-

nym z moich zadań będzie formacja początkowa kandydatów do Zgromadzenia Księża Misjonarzy. I co najciekawsze w tej kwestii to fakt, że tych, którzy pukali do drzwi i deklarowali swoją gotowość pójścia drogą Chrystusowego kapłaństwa nie brakowało. Ktoś czytając to ostatnie zdanie może zapytać: to w czym problem?

Proponuję mały skok do Pisma Świętego, a tam do Ewangelii wg św. Łukasza, do fragmentu o uzdrowieniu opętanego w kraju Gergezeńczyków (Łk 8, 26-39) kiedy ten szczęśliwy człowiek chciał zostać z Jezusem. Lecz Chrystus miał inne zadanie dla niego: *Wracaj do domu i opowiadaj wszystko co Bóg ci uczynił*. Powołanie to nie ucieczka od czegoś, albo od kogoś. Może przypominacie sobie początek z powieści H. Sienkiewicza „Pan Wołodyjowski”. Zraniony niepowodzeniem życiowym żołnierz ucieka do klasztoru, żeby zapomnieć. Nie tędy droga. Kapłaństwo to misja „z ludu wziętego do ludu posłanego”. I schody zaczynają się w tym momencie kiedy kandydat musi rozeznaczyć prawdziwą motywację wyboru takiej drogi pójścia za Jezusem. Albo inaczej, kiedy mnie, formatora proszą o pomoc w rozeznaniu tej właściwej drogi. I tu przychodzi jeszcze jeden bardzo istotny element. Kandydat pukający do naszych drzwi ma mieć umiłowanie służby ludziom ubogim.



Pochodził ze wschodniej części Haiti. Stolicą tego regionu jest miejscowość Hinche (czyt. Hęsz). Tereny góryste. Jeszcze dzisiaj pamiętam naszą wyprawę z seminarzystami w tamtą część kraju. Kiedy terenowy samochód (napęd na cztery koła)wspinał się serpentynową, żwirową drogą, prosiłem Boga w głębi serca, żeby nic nie jechało z naprzeciwka, bo nie wiem czy zmieścilibyśmy się przy wymijaniu. Co jakiś czas były tzw. zatoki wydrążone w górze, aby takiego manewru dokonać. Tylko, no właśnie, trzeba zdążyć do tego miejsca dotrzeć. A jeszcze jest świadomość stanu technicznego publicznego transportu, bardzo często hamulce działały po japońsku „jako tako”. Każdego tygodnia prasa donosiła o tragicznych wypadkach na takich górzystych drogach, a szczególnie w sezonie deszczowym. Jadąc po zewnętrznej stronie drogi (o istnieniu barier zapomnij!) nie widziałem ile jeszcze mam miejsca do manewru, żeby nie stoczyć się po zboczu. W tym balansowaniu na krawędzi z tęsknotą wspominałem teren mojej ostatniej misji w Kongo – Yumbi w regionie Bandundu, który był płaski jak Holandia.

Ale wracając do opisywanego kandydata z tamtych terenów, podziwiałem jego zdeterminowanie, żeby przyjeżdżać do Port-au-Prince (kilka godzin takiej terenowej jazdy) na comiesięczne spotkania formacyjne. Cel tych spotkań był jakby dwukierunkowy. Kandydat przebywał przez cały dzień razem z nami, aby przypatrzeć się stylowi naszego życia, apostołstwa, życia wspólnoty. Każdorazowo takie spotkanie zaczynało się poranną parafialną, niedzielną mszą św. Później odbywały się spotkania z seminarzystami ze starszych lat formacji, no i oczywiście z nami – odpowiedzialnymi za formację. Spotkania były grupowe, jak i indywidualne. Bardzo nam zależało, aby w ciągu tych spotkań zorientować się na jakim poziomie duchowym, religijnym jest nasz przyszły domownik. I tu może być dla was zaskoczeniem stwierdzenie, że kandydat ochrzczony, po I Komunii Świętej i bierzmowaniu mógł mieć bardzo powierzchowną świadomość tożsamości Kościoła katolickiego. A jak to? A tak to!

Szkolnictwo państwowe prawie nie istniało ze względu na ubóstwo ekonomiczne kraju. Szkoły lepiej funkcjonujące to prowadzone przez parafie (które otrzymywały wsparcie finansowe z zagranicy przez znajomości proboszcza), albo prowadzone przez zgromadzenia zakonne. Duży procent istniejących szkół to szkoły prywatne wsparte przez „różnej maści i odmiany” wspólnoty protestanckie. Dzieci były

posyłane tam gdzie najbliżej i najtaniej. Rodzice byli skłonni zmienić wyznanie, jeżeli wymagała tego wspólnota prowadząca daną szkołę. I tym sposobem, ktoś mógł posiadać metrykę chrztu św. w Kościele katolickim, a być wychowanym np. przez Kościół Dnia Siódmego.

Pozostając w tym samym temacie szkolnictwa. Formacyjne spotkania miały nam pomóc zorientować się, czy kandydat jest w stanie podjąć studia filozoficzne, a w późniejszym czasie teologiczne wymagane do otrzymania święceń kapłańskich. Stop! W tym momencie trzeba sobie uświadomić rzeczywistość językowej poprzeczki dla kandydata na Haiti. Językiem codziennego porozumiewania się, „wysanego z piersi matki” – był język kreolski. Natomiast język francuski jest językiem administracyjnym kraju. Ludzie z ubogich sfer miast i większość na wioskach nie zna tego języka. Jak podają oficjalne statystyki analfabetą jest co drugi obywatel. Chociaż uczciwie trzeba powiedzieć o innym „cudzie tego kraju” to poligloci. Najczęściej dla celów handlowych Haitińczycy znają język hiszpański (drugi raj na tej wyspie to Republika Dominikańska) i angielski (bliskość USA, gdzie wielu nielegalnie ucieka). I chociaż prawdopodobnie osoba znająca te języki nie napisałaby najprostszego zdania: *Ala ma kota*; to jednak możliwości dialogu z lekką pomocą rąk trzeba im pozazdrościć.

Chłopak, o którym chcę opowiedzieć jest koronnym przykładem jeszcze jednej poprzeczki, które stawiało nam społeczeństwo haitańskie – tradycja wierzeniowo-zabobonna. W programie pierwszego roku formacji tzw. postulatu, kiedy już kandydat mieszkał z nami, był czas przeznaczony na pomoc konkretną ludziom ubogim. Jeździliśmy na cały dzień do jadalni dla biednych z dzielnicy Marie Magdeleine (Marii Magdaleny), którą prowadzą Siostry Szarytki. Program był bardzo ciekawy. Osoby starsze, które przychodziły zjeść choćby jeden posiłek dziennie, zostawały tam cały dzień. Siostry miały dla nich łaźnię, gdzie mogli się wykapać, bo bardzo często ich domem gdzie spali była ulica. Siostry opatrywały ich rany. Ale bardzo ważnym elementem tego całodziennego pobytu była rozmowa. Nikt ich nie wyśmiewał za ubóstwo, czy kalectwo. Nie szczuł psami, nie wypędzał używając obraźliwych słów. Ktoś ich po prostu, i aż tyle – słuchał. Oczywiście, trzeba tu uczciwie zaznaczyć, nikt nikogo nie pytał do jakiego Kościoła należy. Ale lektura Pisma Świętego i jego wspólne rozważanie było bardzo ciekawym doświadczeniem. W ciągu tego dnia wykonywali oni drobne „chałupnictwo” np.

kartki świąteczne, czy torby na zakupy ze starych papierowych worków po mleku w proszku; albo powrozy z plastikowych worków po ryżu itp.

Pewnego razu, gdy rozmawiałem z siostrą Haitanką na temat naszego uczestnictwa w tym programie, zwróciła mi uwagę na tego kandydata. Okazało się, że obserwacje siostry potwierdziły także inne osoby, przez cały dzień pobytu unikał bezpośredniego kontaktu ze starszymi, ubogimi ludźmi. Sprzątał, nosił żywność do spiżarni, mył jadalnię – ktoś by powiedział: *to czego więcej od niego wymagać?* I tu mamy tzw. piętę Achillesa. Na naszym cotygodniowym spotkaniu podsumowującym miniony czas; gdzie rozmawialiśmy o wzlotach i upadkach. Zapytałem tego chłopaka: *w czym problem?* Wyraz jego twarzy zmienił się w ułamkach sekundy. Jakby szykował się do ataku na groźnego przeciwnika. I chociaż zwyczajowo zwracano się do nas przez formę „mon Pere” (Ojciec), to w tym momencie przypomniano mi skąd pochodzę: *Słuchaj biały ty tego tak nie zrozumiesz! Twoja i moja kultura są tak różne, że są nie do przeskoczenia. W domu uczono nas, aby nie zadawać się ze starcami, bo oni zjadają dusze młodych ludzi, aby przeżyć kolejny dzień. I sprowadzają na człowieka śmierć.* Zapanowała niebezpieczna cisza, atmosfera gniewu. Wiedziałem, że muszę uważać na każde słowo, żeby nie powstał między mną a pozostałymi mur nieufności, która przekreśliłaby jakiegokolwiek owoce formacji. Wierzę, że mój Anioł Stróż przejął rolę suflera, aby prawda zwyciężyła. *To, że jestem biały, naprawdę jest niezależne ode mnie – zacząłem. W kwestii wyboru moich rodziców nic nie miałem do decydowania. Zgadzam się, że jesteśmy z różnych stref geograficznych i kulturowych. I w tym punkcie także, nie ode mnie to było zależne. Jednak, ty i ja jesteśmy ochrzczeni w imię Trójcy Przenajświętszej. Ty i ja należymy do jednej rodziny, która nazywa się chrześcijaństwo i ten fakt, czy ci się podoba lub nie, stawia nas ponad kolorem naszej skóry i miejscem naszego urodzenia. Jak mi nie wierzysz, to przeczytaj List św. Pawła do Koryntian: „Wszyscyśmy bowiem w jednym Duchu zostali ochrzczeni, [aby stanowić] jedno Ciało: czy to Żydzi, czy Grecy, czy to niewolnicy, czy wolni. Wszyscyśmy też zostali napojeni jednym Duchem” (1 Kor 12, 13).* Wszyscy jego koledzy czekali, duchowo solidaryzując się z nim, na kolejny biblijny cytat, który podda w wątpliwość mój tok rozumowania, ale chłopak wstał i krótkim stwierdzeniem urwał: *biblijne przepychanki, to nie dla mnie – odchodzę.*

Ks. Jarosław Lawrenz CM

„ROZWIAŁY SIĘ MOJE UŻALANIA NAD SAMĄ SOBĄ!”



Haiti – na mapie zaznaczone epicentrum trzęsienia ziemi

25 MARCA – Serdecznie pozdrawiam z Haiti. To już dwa miesiące od mojego wyjazdu z Polski. Wiem, że wiele wiadomości było podanych w telewizji i radiu, ale chcę się podzielić swoimi wrażeniami. Pragnę też podziękować za te nieustanne modlitwy, które są naszą siłą i mocą.

Po moim powrocie tutaj starałyśmy się z siostrami organizować klinikę tak, aby jak największa liczba ludzi miała możliwość dostępu do leków. Większość ludzi jest chorych, jeśli nie fizycznie to duchowo.

wo. Dzieci mają najczęściej zapalenia górnych dróg oddechowych: spanie na ulicy pod prowizorycznymi namiotami, deszcz na przemian z kurzem, często brakuje wody pitnej albo jest jej jak na lekarstwo, brak regularnych posiłków, niedostateczne posiłki, to wszystko sprzyja anemii i niedożywieniu.

Po tym pierwszym etapie szybkiej pomocy siostry zdecydowały, że musimy pojechać poza stolicę, aby zobaczyć jakie tam są potrzeby ludzi. Obraz podobny jak w stolicy, wszystko zdewastowane, droga narodowa w wielu miejscach nie do przejechania. W górach spędziłyśmy z siostrami około tygodnia, w miejscach nieco niedostępnych, gdzie ludzie nie mają żadnych środków lokomocyjnych i podobnie jak w stolicy robiłyśmy konsultacje. Po powrocie wyruszyłyśmy w inną część Haiti (bardziej na wschód) w podobnym celu, znów na tydzień i zastałyśmy to samo. Myślę, że zaraz po świętach znów pojedziemy i też tym razem w inną część. W międzyczasie musimy opuścić boisko szkolne, gdzie mamy rozbite pole namiotowe.

W zeszły piątek po raz kolejny była silna ulewa, zalało nas całkowicie, nasze małe namioty wyglądały jak pagórki na morzu. Wszystko zostało przemoczone, nie spałyśmy w nocy lecz robiłyśmy kanały szczotkami do zamiatania, aby ukierunkować odpływ wody. Każda z nas po takim dniu intensywnej pracy i życiu w warunkach polowych, nie miała już prawie sił. Pomyślałam sobie w duchu: *My mamy chociaż jedzenie, a biedni ludzie? Nie mają nawet namiotu i jedzą raz dziennie albo wcale!* Rozwiały się moje użalania nad samą sobą!!! Po dwóch dniach musiałyśmy w innym miejscu na nowo rozbijać namioty, przenosić to, co się uratowało z zawalonego domu i organizować na nowo w ogrodzie nasz niby dom.

3 KWIETNIA – Jak już pisałam byłam z siostrami w innej części Haiti, nieco w kierunku Jacmel, ale w górach. Tam również trzęsienie było dość mocne, bardzo dużo gór poobsuwało potężne kamienie blokując drogi. W części, gdzie nocowałyśmy, domy tamtejszych mieszkańców są w większości zbudowane z drzewa, a fundamenty z kamienia, więc chociaż fundamenty zostały zniszczone to domy stoją. Natomiast inne budynki, kościół i cztery szkoły, są w całkowitych gruzach. Znajduje się też tam Centrum Zdrowia nowe, ale też budynek

grozi zawaleniem. Maja tam jedną lekarkę i jedną pielęgniarkę, apteka świeci pustkami! Dowiozłyśmy trochę leków i przez trzy dni pomagałyśmy w konsultacjach. W tym regionie jest trochę chłodniej niż w stolicy, ludzie uprawiają dużo fasoli, kukurydzy i trochę warzyw. W niektórych miejscach nie mają wody. Do najbliższego szpitala dwie i pół godziny samochodem. Nie ma transportu. Można tam się dostać na motorze. Droga górską, niebezpieczną w wielu miejscach zagrożoną jest obsunięciem. Myślę, że po świętach znów wyjedziemy. Pamiętajmy o modlitwie, Mocy i Miłości od Jezusa Zmartwychwstałego!



31 MAJA – Co do kraju to bez większych zmian, ludzie nadal koczują pod namiotami, nadal pełno pozawalanych budynków, masowo rozdają jedzenie, ludzie protestują, urządzają manifestacje, chcą, aby Prezydent oddał władzę!! Teraz mamy upały po 40°C, pod namiotami jest jeszcze więcej, nie da się wejść, jedynie wieczorem, nie wiemy, kiedy będziemy mieć lepsze warunki.

*S. Lila Cochla SM
Misjonarka na Haiti*

FESTYN W PABIANICACH

Dnia 27 września 2009 r. na polanie w Tereninie (koło Pabianic) od znaku krzyża i dźwięku rogu rozpoczął się Rodzinny Festyn Misyjny. Okazją do zorganizowania tego spotkania była obchodzona 90. rocznica pracy kapłanów ze Zgromadzenia Księża Misjonarzy św. Wincentego a Paulo w parafii Najświętszej Maryi Panny w Pabianicach.

Bogaty program pozwolił na bliższe poznanie kultury i zwyczajów panujących w najodleglejszych zakątkach świata. Dzieci „podróżowały” po wioskach: indiańskiej, afrykańskiej i euroazjatyckiej, gdzie m.in. mogły zbudować tipi, strzelać z łuku, zatańczyć tańce afrykańskie, wykonać tatuaż z henny, przebrać się w strój indyjski. Niespodzianką było pojawienie się Indian na koniach.



Głównym celem festynu było uwrażliwienie uczestników na problemy ludzi z krajów misyjnych. Odmówiona została modlitwa w intencji pokoju na świecie w kilku językach, m.in. rosyjskim, lingala (Kongo) oraz perskim.

Wśród zaproszonych gości były siostry misjonarki z Indii, misjonarze z Kongo, Peru, Argentyny, Białorusi. Program „Adopcji na odległość” przybliżyła wolontariuszka pracująca w Azerbejdżanie.



Dużym powodzeniem cieszyła się loteria fantowa, w której główną nagrodą była pielgrzymka śladami Jana Pawła II. Całkowity dochód został przeznaczony na pomoc misyjną.

Przez festynową polanę pod lasem przewinęło się ponad 1500 osób. Jest to dowód na to, że w sercach mieszkańców Pabianic i okolic nie brakuje ducha i zapału misyjnego. Dla wielu osób czas festynu był wspaniałą okazją do spotkania z bliskimi i znajomymi.

Organizatorami festynu byli: Szkoła Podstawowa w Bychlewie, parafia NMP Różańcowej oraz Hufiec ZHP Pabianice.

Nadesał ks. Marcin Wróbel CM

WIELKOPOSTNE SPOTKANIE WSPÓLNOTY PRZYJACIÓŁ MISJI NA GREENPOINCIE



Spotkanie poprzedziło nabożeństwo Gorzkich Żali. Ta rzewna modlitwa zawdzięcza swoje powstanie Księżom Misjonarzom św. Wincentego a Paulo, którzy jako pierwsi wprowadzili ją w kościele św. Krzyża w Warszawie. Nabożeństwo to będzie dla nas owocne, jeżeli poprawimy się i naprawimy krzywdy wyrządzone. Przeżywamy okres Wielkiego Postu jest to szczególny czas osobistej ofiary misyjnej, abyśmy przestali postępować źle, a czynili dobro. Podczas spotkania ks. Jarosław przypomniał nam Papieskie intencje misyjne na 2010 rok. Szczególną uwagę poświęcał prześladowaniu chrześcijan za szerzenie Ewangelii. Misjonarze ofiarują cierpienie i życie, giną razem z ludnością wstawiając się za nimi. Dlatego Wspólnota Przyjaciół Misji powinna dążyć do głębokiej odnowy wewnętrznej, dając w ten sposób swoją część w dziele misyjnym.

Ustaliliśmy program zdobycia funduszy na cele misyjne na okres wielkopostny:

- sprzedaż kartek świątecznych, palm, oraz ozdób świątecznych,
- organizacja pielgrzymki do Verony, NJ na święto Miłosierdzia Bożego.

Zmartwychwstanie Chrystusa stanowi najważniejsze wydarzenie całej historii zbawienia. A pamiątka tego wydarzenia jest pierwszym i największym świętem chrześcijańskim:

„Posłuchaj jak biją dzwony,

To Zmartwychwstanie.

Ja jestem z wami przez wszystkie dni,

Aż do skończenia świata”.

*Sekretariat Wspólnoty
Nowy York*

DRODZY DOBROCZYŃCY!

„Wiadomości Misyjne” docierają zarówno do wszystkich Przyjaciół Misji jak i również do samych misjonarzy i ich Rodzin. Pragniemy, aby za pośrednictwem naszego pisma misjonarze poznali nazwiska tych, którzy wspierają ich swoimi ofiarami i dzięki temu mogli wyrazić swoją wdzięczność, o której nieustannie zapewniamy, poprzez modlitwę w intencji konkretnych osób.

Pragniemy też tą drogą poinformować wszystkich dobroczyńców misji, że podczas tegorocznego spotkania w Częstochowie, misjonarze otoczeni rodzinami odprawią mszę świętą w kaplicy Cudownego Obrazu, w sobotę dnia 3 lipca o godz. 9.00, podczas której będą się wspólnie modlić w intencji wszystkich przyjaciół misji. W sposób szczególny będą w niej polecać Opatrzności Bożej następujące osoby, stowarzyszenia i parafie (układ alfabetyczny):

Adamczyk Helena, Adamczyk Maria, Bac Lucyna Czesław, Bartoszevska Aniela, Bonin Helena, Borowiec Eugenia i Czesław, Bryk Maria, Bryk Maria, Cendrowska Smuga Maria, Chodkowska Cecylia, Chomiczewska Stanisława, Daniel Urszula, Donner Anna, Dzielwski Paweł, Filipotto Turkowska Ewa, Flisikowska Maria, Frontczak Anna, Fundakowska Krystyna, Gałuszka Marta, Gawor Tomasz, Gliniak Ewa, Grzyb Jerzy, Hoppe Maria, Irisik Zofia, Jabłoński Ryszard Tadeusz, Jakubas Emilia, Jałowska Małgorzata, Jucha Ryszard, Jucha Ryszard, Jurkiewicz Urszula, Juszczyk Halina, Kabula Stanisława, Kabula Stanisława, Kaczmarek Marek, Kaczmarek Teresa, Kaczorowska Jolanta, Kasperek Jolanta, Klatecka Bożena Zofia, Klein Barbara, Klerycy CM, Klima Andrzej, „Koło Misyjne” Nowy Jork, „Koło Misyjne” Szkoła Podstawowa w Skwierzynie, „Koło Przyjaciół Misji” – Oporów, Komorowski Jarosław, Konferencja Stowarzyszenia św. Wincentego a Paulo (SSVP) – Warszawa-Radna, Konferencja Stowarzyszenia św. Wincentego a Paulo (SSVP) – Wrocław, Konferencja Stowarzyszenia św. Wincentego a Paulo (SSVP) – Ostrów, Konkel Barbara, Konopka Wanda, Kopczyńska Danuta Jolanta, Kosek Joanna, Kot Marian, Kowalewska

Irena, Kozłowska Urszula, Krasny Sławomir, Kubacka Ewa, Kubanek Halina, Kubina Regina, Kulczycka Barbara, Kuzdro Franciszka, Łapczuk Krystyna, Lason Magdalena, Lawrenz Norbert, Loose Marian i Elżbieta, Lubelski Tadeusz, Mackowiak Stefania, Mądrzejewska Genowefa, Magierowski Mirosław, Małota Maria, Markowska Aleksandra, Maszkowski Longin, Międlar Zofia i Andrzej, Mierzwa Stanisława, Misterek Krystyna, Modrzejewska Genowefa, Mordal Halina, Mościcka Wesołowska Maria, Murawski Michał, Neska Agnieszka, Ołdakowski Daniel Sebastian, Opara Maria Irena, Pacuł Władysława, Parafia Najśw. Serca PJ – Iłowa, Parafia Bł. Anieli Salawy – Kraków, Parafia MB Różańcowej – Pabianice, Parafia św. Mikołaja – Skwierzyna, Parafia MB Królowej Polski – Słubice, Parafia Świętego Krzyża – Warszawa, Parafia św. Anny – Wrocław-Oporów, Parafia MB Objawiającej Cudowny Medalik – Zakopane-Olcza, Parafia św. Trójcy – Żmigród, Piechota Włodzimierz, Pikul Bartosz, Płoszewski Jan Krzysztof, Podgórska Maria, Popek Lidia, Pufelska Teresa, Pufelska Teresa, Radtke Sława, Rapacz Władysława, Ratomski Piotr, Romanowska Anna, Rybka Zabawska Zofia, Rymiszewski Władysław, Schreiber Zenon Eugenia, Simoni Dorota i Adam Władysław, Simoni Elżbieta, Siostry Miłosierdzia – Kraków, ul. Warszawska 11, Siostry Miłosierdzia – Warszawa Tamka, Smolińska-Kaminiarz Barbara, Staniszevska Alicja, Staszewska Angelika, Stawiarski Łukasz Paweł, Stepańczuk Stanisława, Stepień Monika, Strońska Kinga, Szczepański Dorota i Sławomir, Szewczyk Jacek, Szkoła podstawowa nr 3 – Słubice, Szulik Maciej, Turska Bogumiła, Tutak Kinga, Ulatowska Stanisława, „Vincentinum” – Krzeszowice, Wąchala Krystyna, Wardyński Stanisław, Waryan Adela, Wasik Maria, Wasilewski Wojciech, Wawrzyniak Sławomir, Werigo Melchiora, Więckowska Halina, Więckowska Halina, Wierzbiański Dariusz, Wisłocka Helena, Witowska Stefania, Wituch Krystyna, Wronczewska Anna Jolanta, Wspólnota Przyjaciół Misji – Bydgoszcz (parafia Zmartwychwstania), Wspólnota Przyjaciół Misji – Ignaców, Zarzycki Piotr Lech, Zmyślony Piotr.

Z LISTU KS. PAWŁA WIERZBICKIEGO

Drodzy Przyjaciele Misji! W Chinach osobami, które szczególnie potrzebują pomocy od innych, są należący do mniejszości etnicznych mieszkańcy gór, których tylko w Prowincji Yunnan jest 25 różnych grup. W jak trudnych (ze względu na warunki naturalne) i prymitywnych warunkach żyją tamtejsi ludzie przekonałem się odwiedzając ich wioski. Miałem na przykład okazję zobaczyć jak biedne rodziny przygotowują posiłek w swoich domach-chatach. Do dołku, który służy jako piec wkładają chrust, podpalają i na nim gotują pożywienie. Pomieszczenie natychmiast napełnia się dymem, gdyż w chacie jest tylko otwór w dachu, przez który dym „powinien” ulatniać się na zewnątrz. Prawdopodobnie tak gotowali ich przodkowie 2000 lat temu. Po ostatniej wizycie pomyślałem sobie, że trzeba spróbować poprawić warunki życia tych najbiedniejszych rodzin, bo częste przebywanie w dymie powoduje choroby dróg oddechowych, te rodziny mają wiele dzieci, lecz praktycznie żadnych możliwości leczenia chorób.

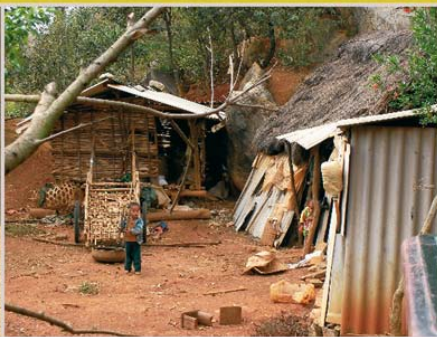
Moim pragnieniem jest zbudowanie pieców najbiedniejszym rodzinom. Chciałbym w ten sposób pokazać jak bardzo prawdziwy choć prosty w budowie piec może pomóc im w przygotowaniu posiłku i jednocześnie przyczyni się do poprawy zdrowia mieszkańców domu, gdzie takiego pieca nie ma. Naliczyłem 20 rodzin, którym taki piec jest koniecznie potrzebny, a nie mają środków na jego zbudowanie. Budowa jednego pieca kosztuje 200 zł polskich. Jeżeli sądzicie, że zbudowanie pieców dla dwudziestu biednych rodzin to dobry pomysł to zachęcam Was do przyłączenia się do akcji „Er shi lu” (Dwadzieścia pieców). Niech Pan błogosławi Wam za dobre i ofiarne serce!

Szczęść Boże!

Ks. Paweł Wierzbicki CM



„piec” po chińsku – czytaj „lu”



PROJEKT BUDOWY PIECÓW DLA NAJBIEDNIEJSZYCH RODZIN W YUNNAN - CHINY

Pragniemy pomóc księdzu Pawłowi Wierzbickiemu w realizacji projektu budowy pieców dla 20 najbiedniejszych rodzin. Możemy w ten sposób przyczynić się do poprawy warunków życia tym, którzy z powodu braku nawet najprostszego pieca w domu narażeni są na utratę zdrowia. Koszt wybudowania jednego pieca wynosi 200 zł.

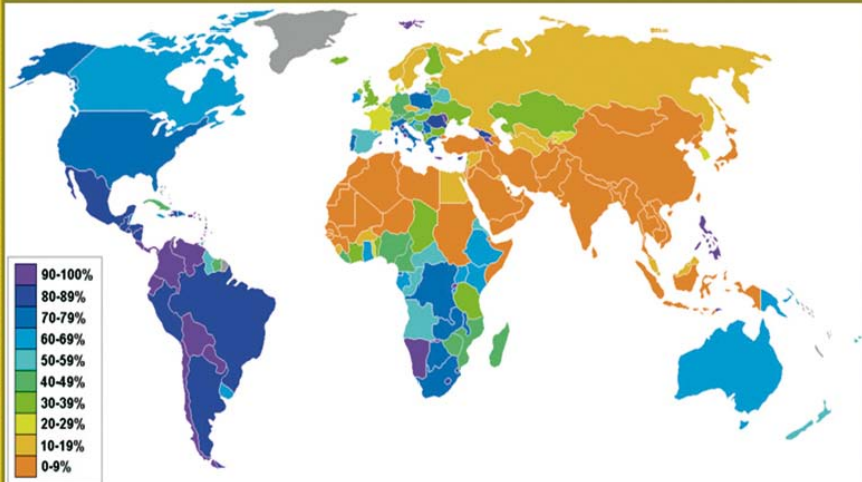
Można wesprzeć projekt budowy pieców dla biednych rodzin w Yunnan – Chiny, przesyłając na konto bankowe sekretariatu dowolną ofiarę z zaznaczeniem:

«projekt Er shi lu» lub «projekt piece».



Bank PEKAO SA: 31 1240 4533 1111 0000 5433 2487
SWIFT CODE (dla wpłat z zagranicy): PKOPPLPW

CHRZEŚCIJANIE NA ŚWIECIE



www.it.wikipedia.org

Dane statystyczne z lutego 2008 roku.



adgentes.misjonarze.pl